Nr. 5. Rok I.



Cena prenumeraty
kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 28 Stycznia 1871.

Redakcja
przy ulicy Berlińskiéj Nr. 11.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz & Co.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Mieszkania nawodne przedhistoryczne.

przez

Dr. K. Libelta.

(Dokończenie).

d) Nawodziska Czeszewskie.

Wszakże same pale a nawet i pomosty nie dają jeszcze zupełnego świadectwa, że są resztkami przedhistorycznych budowli nawodnych. Potrzeba do tego jeszcze śladów samego niegdyś przez ludzi zamieszkiwania. A więc nagromadzonych w tych miejscach kości, skorup, węgli, rozmaitych naczeń i narzędzi, świadczących o epoce, z któréj pochodzą, wedle tego czy są kamienne, bronzowe lub żelazne. Nakoniec samo położenie miejscowe wskazywać powinno na możność i podobieństwo, że tu kiedyś ludzie gromadzili się i zamieszkiwali na wodach.

Biorąc ten ostatni punkt na uwagę, widać, że moczary torfiaste i szlamowe po nizinach od strony Czeszewa i Kujawek, nie mogły być zdatne na siedliska ludzi, raczéj ich od téj strony zasłaniały od napadów tak dzikiego zwierza, jak i gmin sąsiednich. Siedziby ich rozciągać się musiały na wyniosłych wzgórzach dzisiejszego Wiśniewa, Smuszewa, Podolina, i daléj ku Żninowi, gdzie znowu obszerne i głębokie jezioro stanowić mogło ich granicę. Pobliż Babionki, jako punktu centralnego całego opola, — bo zaledwie tysiąc kroków ten koniec jeziora odeń jest oddalony, — przemawia także zatém, że tu było jakieś siedlisko mieszkańców nawodnych. Najwięcéj jednak mówi za tém ostatniém kopiec, mający 15 do 20 łokci wysokości, wznoszący się tuż nad nadbrzeżem, do którego sięgają pale i pomosty, noszący na sobie formę starożytnych okopalisk słowiańskich np. na Lednogórze pod Gnieznem; to jest w środku wklęsły, a mający brzegi wystające na kilka stóp wysokości. Gdy pierwotni tych okolic mieszkańcy nie znali ani rydli, ani motyk do kopania, ale samemi posługiwali się klinami z kamienia, kości lub drzewa, wyszukiwali miejsc z natury na takie kopce sposobnych, a resztę dorabiali własną trudną pracą. Trudno dziś powiedzieć na jaki cel społeczny, czy religijny, takie kopce obierali; to pewna że one być musiały miejscem ich zgromadzeń, i dla tego w późniejszych czasach, jak na wyspie Lednogórskiéj, budowano tam bałwochwalcze świątynie, a może i cerkwie. Jeżeli zatém tuż nad jeziorem było miejsce dla gromadzącéj się okolicznéj gminy, nie ma nic niepodobnego, aby na samém jeziorze nie stawiali mieszkań nawodnych.

Cel tych mieszkań zdaje się być, jak to wyżéj powiedzieliśmy, religijny. Bliskość góry Babionki i kopiec wklęsły tuż nad jeziorem widocznie na to wskazują. Były to zapewne mieszkania ich kapłanów, a może też ich naczelników, bo wyrazy nasze ksiądz i książę domyślać się każą, że u przodków naszych początkowo władza duchowna i świecka była w jednéj osobie. Zaś odseparowanie się osób władzę piastujących od reszty ludu, zdaje się, leżało w potrzebie i w pojęciach onych pierwotnych mieszkańców, ku czemu mieszkania nawodne najstosowniejszą po owe czasy dawały sposobność.

Najznakomitszém aloli znamieniem nawodzisk Czeszewskich są w wielkiéj ilości nagromadzone resztki najrozmaitszych przedmiotów, świadczących wyraźnie, że tu niegdyś były mieszkania ludzi. Wszystkie one są z epoki kamiennéj, bo nigdzie nie natrafiono ani na miedź, ani na żelazo. To też było powodem, że zwiedzający te miejsca przed ośmiu laty pan Józef Łepkowski, dzisiejszy profesor archeologji przy uniwersytecie Jagiellońskim, pierwszy orzekł, że to są Fahlbauty czyli mieszkania nawodne i dał późniéj o nich wiadomość w odcinkach Czasu krakowskiego, i w pi-

smach głównego archeologicznego towarzystwa w Wiedniu, zkąd się ta wiadomość i po innych pismach archeologicznych rozeszła To spowodowało uczonego naszego badacza starożytności, hr. Alexandra Przezdzieckiego, i profesora Virchowa z Berlina, który szczególniéj .nawodziskami Pomorskiémi się zajmuje, iż zapowiedzieli przyjazd swój do Czeszewa, by rzecz umiejętnie zbadać i przez kopanie w różnych punktach dokładniéj wyświecić. Zapadła tymczasem wojna przeszkodziła ich przyjazdowi.

Zrazu przestrzeń gruntu między spodem kopca a wodą nie wynosiła jak 10 do 12 kroków. Na tym wązkim pasku leżały i leżą jeszcze liczne większe i mniejsze skorupy naczeń glinianych, niewypalonych, nie wiadomo czy garnków, czy popielnic, surowéj, bezkunsztownéj roboty; mnóstwo węgli i popiołu. Daléj znaleziono kilkanaście młotków, czy siekier kamiennych z wydrążoną dziurą w obuchu. Jeden taki młotek, dziś w muzeum archeologiczném krakowskiém złożony, miał dziurkę dla rękojeści drzewnéj tylko do połowy wydrążoną, i widać ze żwiru w końcu dziurki osadzonego, że ostrym żwirem onę wywiercono. Zgadzam się na zdanie profesora Łepkowskiego, że tego rodzaju narzędzia, nie były ani młotkami, boby się pękały, ani były siekierami, boby były za tępe, i owalny kształt ich po obu stronach ostrza nie byłby przydatny do łupania drzewa. Nareszcie są wszystkie mniéj więcéj téj samej wielkości, z ciemnego granitu wyrabiane, ważące półtora do dwóch funtów, z dziurką do rękojeści tak wązką, żeby przy rąbaniu lub uderzaniu takowa się zaraz złamała.

Zdaniem pana Łepkowskiego były to znamiona władzy, czy świeckiéj, czy duchownéj na podobieństwo jak dziś jeszcze urzędnicy przy licytacjach młotka używają; albo jak sołtysi w państwie pruskiém opatrzeni są laskami z szerokim guzem metalicznym u wierzchu, jako znamionami swego urzędowania. Jak tych kamiennych znamion używano, jak je noszono, nie mamy żadnéj wiadomości. Są tylko młotki różnego rodzaju: z krzemienia nader misternie wyrobione, są inne wiele większe po kilka funtów ważące, jak np. te, które włościanin w okolicy Granowa w powiecie bukowskim zakopane w ziemi wynalazł. Było ich razem pięć, trzy nabyte przez prof. Łepowskiego znajdują się w muzeum archeologiczném w Krakowie. O tych sądzićby prędzéj można, że służyły za siekiery, gdyby właśnie ta okoliczność, że pięć ich było zachowanych w jedném miejscu, nie kazała wnosić, że jakaś religijna cześć przywiązywała się do tych kamiennych narzędzi. Różność wielkości, materjału i formy wskazuje na różne stopnie władzy, któréj wyroby te były znamionami.

Wracając do nawodzisk czeszewskich uważamy, że znalezione tamże liczne młotki kamienne potwierdzają poniekąd nasze domniemanie, że te nawodziska były mieszkaniami kapłanów lub osób u władzy stojących; a wnosząc po ilości węgla i skorup przypuścić można, że się nad brzegiem jeziora ofiary lub uczty odbywały.

Z naczeń gliniannych, które się całe utrzymały, znaleziono tylko jedno, także ofiarowane do Krakowa, w formie nizkiego, małego, wypukłego garneczka z gliny czarnéj niewypalonéj. Może przy rozkopywaniu znajdzie się podobnych wyrobów więcéj.

Z pozostałości zwierzęcych natrafiamy na mnóstwo kości, rogów, zębów, po największéj części w stanie skamieniałym. Widać między niemi wyroby kościanne jak szpilki, kliniki małe i większe, część łopatki z jednéj strony wyostrzona, że jéj użyć można było do siekania, coś nakształt strzałki i t. p. Wszystko to skamieniałe, i trudno odgadnąć, czy już ze skamieniałych kości wyrobione, czy dopiéro po użyciu, w wodzie skamieniały. Rogi są wielkie zda się jelenie, ale poutrącane, są i małe różki jelonkowe. Najrozmaitsze kości z ud, goleni, żeber, ale wszystkie niemal porozbijane, należałoby wypośrodkować do jakich gatunków zwierząt należą. Z zębów odznaczają się na cal kwadratowy szerokie skamieniałe zęby, które w zarządzie dyrekcji archeologicznéj wiedeńskiéj uznano za zęby dzikiéj świni, z gatunku już wyginionego, a które się niemal wszędzie po innych nawodziskach znajdują. Sądząc po wielkiéj ilości tych zębów, wnosićby można, że się wówczas głównie mięsem tego zwierzęcia karmiono.

Ważnych rezultatów spodziewać się dopiéro można, gdy się rozkopywania nadbrzeżnego gruntu rozpoczną. Co dotąd znaleziono na saméj powierzchni rozeszło się pomiędzy osoby, które te miejsca zwiedzały i do zbioru archeologicznego w Krakowie, dokąd wiele przedmiotów profesorowi Łepkowskiemu przesłano.

Dotąd w kraju dawnéj Wielkopolski Czeszewo jest jedyném miejscem, w którém resztki mieszkań nawodnych się nalazły, kiedy po innnych stronach, jak to widzieliśmy, a szczególniéj w Szwajcarji nader obfite powykrywano ich ślady. Gdyby tak być miało, że nawodziska czeszewskie są tylko unikatem w naszych stronach, zmieniłoby to całkiem zapatrywania się nasze i dowodziło, że jakaś kolonja obca, z mieszkańcami tutejszymi żadnego nie mająca rodowego pokrewieństwa, w te okolice się zabłąkała i na jeziorze się wybudowała.

Takiego przypuszczenia jednak zrobić niepodobna. Zdaje się raczéj, że mieszkania nawodne były obyczajem pierwotnych mieszkańców téj ziemi — czy Sławian przodków naszych, czy jakich innych krajowców, co przed Sławianami tę ziemię zamieszkiwali, — któż to odgadnąć potrafi, gdy czasy te sięgają epoki przedhistorycznéj? Historja odkryć nawodnych mieszkań niedalekiéj jeszcze sięga przeszłości. Literatura ich acz dość liczna, ale mało u nas znana, a wiadomości o nawodziskach w naszych okolicach zaledwie jak gdyby z dalekiego i głuchego posłuchu rozszerzone. Jeżeli jednak niniejszy artykuł, i jemu podobne rozbudzą więcéj ciekawość i interes dla nawodzisk, nie wątpię że po wielu innych wodach, po torfiskach i zaślamionych mokrzadach, gdzie niegdyś wody stały napotkamy na resztki mieszkań nawodnych i u nas.

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

Z szczegółowego tego wyliczenia nieznajoma powziąć mogła przekonanie, że nie będzie miała żadnego drażliwego i niepokojącego sąsiedztwa.

Rozmowa toczyła się w ogródku, nieznajoma zgodziła się wynająć lokal, złożyła w ręce panny Eleonory zadatek i zabrała się do wyjścia.

Panny naturalnie odprowadziły ją do bramy, gdzie bawiła się właśnie Kazia.

W bramie panna Eleonora przypomniała sobie, że o najświeższym lokatorze, mającym się dopiéro jutro wprowadzić, nic jeszcze nie mówiły nowéj lokatorce, i zwróciła na to uwagę panny Teodory. Nim jednak panna Teodora zdążyła odpowiedzieć, wyręczyła ją Kazia, ze zwykłą sobie niedyskrecją, wołając:

— Tutaj od jutra będzie mieszkał narzeczony panny Izy!...

Nie podejmujemy się opisywać rumieńców, jakie to odezwanie się wywołało na twarz panien Rękalskich, a powtarzać skarcenia, jakie za to spotkało Kazię, nie widzimy potrzeby.

Nieznajoma, czy to dla tego że jéj ta informacja wystarczała, czy też, że nie chciała obecnością swoją powiększać ambarasu panien, poprzestała na tém objaśnieniu, i pożegnawszy się z przyszłemi gospodyniami swemi, wyszła na ulicę, nie do ytując się o nic więcéj.

W kilka minut potem panna Izydora, ukończywszy samotne marzenia, wyszła z pokoju i ukazała się siostrom.

— Wiesz, Iziu, już i drugie mieszkanie wynajęłyśmy, — zawiadomiły ją siostry jedna przez drugą.

— Kobiécie... saméj?..

— Tak.

— Czy ładna?... młoda?...

Siostry spojrzały po sobie.

— Prawdziwie młoda, — odrzekła panna Eleonora, — i dosyć przystojna...

— Dosyć?... może bardzo?...

— Tak bardzo znowu nie.. ale dosyć...

— Czy ładniejsza od doktorowéj?...

— No, to się rozumie..

— A od Porwiczowéj?...

— Trochę...

Panna Izdora zakryła sobie twarz rękami.

— O! ja nieszczęśliwa! — zawołała, — i com ja wam zawiniła, że mnie tak prześladujecie. Ona go gotowa zbałamucić!...

Długo, długo starsze siostry musiały pracować nad panną Izą, żeńskim Benjaminem rodu Rękalskich, nim ją zdołały przekonać, że miały najlepsze intencje, ale te intencje na nic się nie przydały.

— No już wierzę wam, wierzę, — rzekła nakoniec panna Iza, — ale na cóż mi się to przyda?... młoda.. ładna... wszystko przepadło!... Skokietuje go...

— Nie wygląda bynajmniéj na zalotną... — uspakajała ją panna Teodora.

— One wszystkie nie wyglądają na kokietki, ale są niemi, te młode wychudzone świętoszki, — uniosła się panna Izydora, rzucając w uniesieniu na całą płeć swoją tak ciężką kalumnję, że przy powtórzeniu jéj tutaj, nie możemy pominąć najuroczystszego zastrzeżenia, iż odpowiedzialność za te zuchwałe słowa w zupełności pozostawiamy ich autorce, któraby zresztą zapewne w spokojniejszym stanie ducha nie powtórzyła tego oskarżenia.

— Ależ ona wygląda na jakąś nieszczęśliwą... strapioną... gdzieby tam myślała o miłostkach, — zauważyła panna Eleonora.

— Próżno mnie pocieszacie... musiał ją jeden zdradzić, więc rozpacza, a jak drugiego spostrzeże, to będzie polowała na niego... niby to ja ich nie znam.

Takie i tym podobne skargi i zarzuty wybiegały z wzburzonéj piersi panny Izydory, aż się zapytała nareszcie:

— Cóż ona za jedna?... jak się nazywa?...

— Może ty Leosiu pamiętasz, — odrzekła panna Teodora, — bo się zająknęła mówiąc nazwisko...

— Zająknęła się... awanturnica jakaś!...

— Gdzież znów awanturnica? wygląda bardzo przyzwoicie... nazywa się Jadwiga Łucka... jest wdową, — objaśniła panna Eleonora.

— Wdową... doprawdy?

— Niezawodnie.

— A czemużeście mi tego od razu niepowiedziały?— zawołała panna Iza, — wdowa to co innego, o wdowę się nie boję. — Mężczyzna, co się zna na rzeczy, zawsze woli pannę niż wdowę.

Była to uwaga rażąco sprzeczna ze znaném przysłowiem, — mimo to jednak promień nadziei rozjaśnił znów oblicze panny Izydory.

III.

Nowa niedyskrecja Kazi uchyla rożek tajemnicy.

Nazajutrz, jak nietrudno się domyślić, odbyła się instalacja nowych lokatorów.

Z samego rana, bo przed ósmą godziną jeszcze, zajechał przed Babią wyspę skromny wózek z ruchomościami lokatorki.

Turkot tego wózka rozbudził pannę Izę. Wyskoczyła coprędzéj z łóżka i nie myśląc o ubieraniu się nawet, pobiegła do okna, aby przez gęstwinę liści zobaczyć twarz i sprzęty domniemanéj rywalki.

Twarz Jadwigi była zasłonięta dosyć gęstą woalką, ale wzrok zaledwie rozbudzonéj dziewicy, dzięki uczuciom, co ją ożywiały, nabrał takiéj przenikliwości, że panna Iza mogła wydać swe zdanie o sprowadzającéj się lokatorce.

— Eh! nie taka znów ładna i nie taka młoda; — powiedziała sobie panna Iza.

Mieliśmy już raz sposobność studjować na pannie Izie niektóre właściwości kobiécego oka. Oko to jednak, jak się pokazuje, ma takich właściwości więcéj. Mężczyznie zdawałoby się niepodobném, żeby panna Iza, z po za liści kwiatów i szyb, dostrzedz mogła przez woalkę dość gęstą, rysy przechodzącéj kobiéty, panna Iza jednak dojrzała je, a nawet dokazała czegoś większego, gdyż tém samém spojrzeniem którém zbadała twarz, rozpatrzyła także ubranie pani Łuckiéj, od kapelusza do trzewików, od koloru i kroju sukni aż do barwy i formy najostatniejszego strzępka. Zobaczyć tyle w jednéj chwili, z taką dokładnością, pomimo takich przeszkód, zaprawdę jest to sztuka, do któréj tylko kobiéta jest zdolną.

Ubranie nowéj lokatorki było skromne, chociaż gustowne. Charakter ogólny tego rannego stroju stanowiła widocznie powaga. Najmniejszy kwiatek, żadne piórko, ani jeden drobiazg z tego mnóstwa płatków i szmatek, bez których kobiéta obejść się nie może, nie zdradzał lekkiéj myśli, płochéj chęci podobania się i wabienia. Ubranie to, choć nie żałobne, robiło wrażenie żałoby i dziwnie harmonizowało z piękną lecz smutną twarzą Jadwigi.

Strój ten zrobił bardzo przyjemne na pannie Izydorze wrażenie.

— Wygrana! — pomyślała, — doprawdy wygrana!... Widocznie nawet z gustem ubrać się nie umie, a przytém znać po niéj zaraz, że to nie coś lepszego... nie córka właściciela kamienicy!... Jak Bozię kocham, nie mam się czego bać.

Drugie spojrzenie panny Izy poświęcone było sprzętom, które posługacze publiczni ciągnęli przed jéj oknem na wózku.

Gratów tych i gracików było niewiele, dosyć zaledwie na umeblowanie małego mieszkanka, które miała zająć lokatorka. Wszystkie rzeczy były jak strój właścicielki skromne, ale gustowne, i w nielicznym ich zbiorze znajdowało się wszystko, czego potrzebować może niezbyt wymagająca i nierozgrymaszona kobiéta.

Szybki przegląd tych sprzętów do reszty uspokoił pannę Izę.

— Miałby się na co łakomić, — rzekła z uśmiechem, — na taką odrobinę wyszarzanych rupieci!...

To powiedziawszy odeszła od okna i zaczęła się ubierać.

Starsze siostry, ranniejsze ptaszki od panny Izy robiły w téj chwili taki sam przegląd, ale daleko pilniéj i szczegółowiéj, wyszły bowiem naprzeciw nowéj lokatorki aż do bramy i zawiązawszy z nią rozmowę osobiście ją zaprowadziły do jéj nowego mieszkania.

Jeżeli nowa lokatorka miała oczy tak uorganizowane jak panna Iza, — a ponieważ była kobiétą trudno przypuścić, żeby inaksze miéć mogła, — to przechodząc przez podwórzec Babiéj wyspy, koło ogródka, do swego przyszłego siedliska, widzieć musiała rozmaite główki kobiéce, nieuczesane jeszcze wychylające się zewsząd na jéj obejrzenie. Głowa cioci Petroneli z prawéj strony bramy była jeszcze w ogromnym czepcu nocnym, starego kroju; głowa pani Tuckiéj po lewéj stronie była o dwie trzecie mniejszą na objętości, jak miała być za dwie godziny; głowa pani Gącińskiéj wychylona z okna oficyny ukazywała światu to, co w dzień czepek najstaranniéj zakrywał, to jest, mówiąc wyraźnie, łysinę; z ogródka przez liście wysuwały się dwie główki córeczek doktorowéj, a wreszcie przed samym progiem nowego mieszkania Jadwigi, z po za stojącéj pod rynną beczki, ukazała się uśmiechnięta twarzyczka i porządnie rozczochrana główka Kazi która w chwilę potém cała z po za beczki wybiegła i zawołała:

— A ja mówiłam cioci, że się założę, że pani się wprzód sprowadzi jak narzeczony panny Izy.

— Cicho bądź, Kaziu, — pogroziła jéj panna Eleonora.

Panna Teodora powtórzyła giest siostry i dodała:

— Pfe, Kaziu!... wstydź się!... kto widział gadać takie rzeczy.

Po przejściu krzyżowego ognia wszystkich tych oczu, zwróconych na nią badawczo, nowa lokatorka znalazła się u siebie, ale nie pozostała sama. Panny Rękalskie bawiły ją rozmową i towarzyszyły jéj nieodstępnie przy znoszeniu rzeczy z wózka i ustawianiu ich w pokoju, pozorując swą bytność tém, że może świeżéj mieszkance Babiéj wyspy w chwili sprowadzania się będzie czegoś potrzeba, więc one jako gospodynie powinny być na miejscu, żeby téj potrzebie zaradzić.

Mało jest osób, któreby były rade w czasie rozgoszczenia się w nowéj siedzibie, takiemu nieodstępnemu towarzystwu, zakrawającemu na wcale nieprzyjemną kuratelę, — Jadwiga nie dała jednak poznać po sobie najmniejszego niezadowolenia, nawet wtenczas gdy panny Rękalskie zadawały jéj trochę niedyskretne pytania. Na pytania te jednak odpowiadała bardzo lakonicznie i chwytała pierwszą lepszą sposobność odwrócenia od nich rozmowy.

— Pani długo żyła z mężem? — pytała jéj panna Teodora.

— Niebardzo.

— I była pani szczęśliwą?...

— Byłam... krótko.

— Pani mąż dawno umarł?...

Jadwiga westchnęła i odpowiedziała tylko:

— Oh!... nie!...

Zwykły smutek spotęgował się i uwidocznił jeszcze bardziéj na jéj twarzy, panny Rękalskie indagowały ją przecież daléj bez miłosierdzia, zapewne wychodząc z zasady, że gospodynie powinny znać swych lokatorów.

Z téj indagacji dowiedziały się jeszcze, że Jadwiga nie miała wcale dzieci, że ma familję, ale mieszkającą daleko od Krakowa, że zazwyczaj dnie całe w domu przepędza, i nikogo nie przyjmuje u siebie. D. c. n.

POSŁY.

(Z martyrologji).

I.

— Moja matko, bardzo jestem blada?
Moja matko, źle jest jakoś ze mną,
Od tęsknicy serce mi się pada,
Tak mi w izbie ciągle duszno, ciemno,
Moja matko, źle jest bardzo ze mną!...

W mieście straszna kuje mnie niewola,
Wzrok mi łamią te szańce i mury,
Myślą lecę przez lasy i pola
Za Nim gna mnie niepokój ponury,
W mieście straszna kuje mnie niewola!...

Wychodzili ztąd żołnierze zbrojni,
I twój matko syn wychodził z niemi,
I tak mówił usty śmiejącemi:
„Bądźcie tutaj zdrowi i spokojni,
Wychodzimy ztąd — żołnierze zbrojni!

„Moja matko, mówił brat, gdy długo
Wieści o mnie do was nie dobiegą,
Weź od siostry gołębia białego,
Z listem poślij go powietrzną smugą...“
— Matko puśćmy gołębia białego!...

Przyszedł ojciec krwawy i zczerniały,
Przyszli bracia od głodu znędzniali,
I kochanka przyszła w sukni białéj,
Posłuchali próźb siostrzyczki małéj
I gołębia z listem wysyłali.
Wysyłali w drogę o zachodzie.
Na świat biały, przez armatnie strzały,
Leć, mówili, gołąbeczku biały!

I na drogę dali mu podarek:
Ojciec w dziobek dał perłowych ziarek,
Siostra — dała złoty znak Chrystusa,
Matka — dała pacierz ciężki łzami,
A kochanka, cicho, pod skrzydłami,
Pod ciepłemi, schowała — całusa...
I pędzili go w niebo oczami:

Wybiegł skrzydły zuchwałemi w górę
Trącił w locie złoty krzyż kościoła,
Przebił piersią czarną dymu chmurę,
W biegu zrównał się z obłokiem płowym,
I utonął w słońcu purpurowém.

Pieszczotliwie za nim siostra woła:
Na świat biały, przez armatnie strzały,
Leć do brata, gołąbeczku biały!

II.

— Matko, miałam straszny sen nad ranem!
Matko, długo już nie będę żyła,
Wszystka w ciele mojém mdleje siła,
Myśl się plącze w mózgu obłąkanym;
Cóżem, matko moja, zobaczyła!..

Od tęsknicy wielkiéj i od troski
Wyszła ze mnie dusza moja mała
We śnie, lekka, jak Boże anioły,
I w gołębia piersi się przelała,
W pierś gołębia, w pierś naszego posła.
Moc anielska nas powietrzem niosła.
Po pod nami świat był nie wesoły:
Same kopce mogilne i doły;
Słońce złote zachodziło w rzekę
Purpurową, rozlaną, jak morze;
Szły z niéj pary mgliste i skłębione
Słupem bijąc w niebiosów podwoje.
Nas w przestrzeni było tylko dwoje:
Gołąb', z moją wzlatującą duszą.
Lecieliśmy po przez ognisk spiekę,
Rozrzuconych po polu szeroko,
Po nad fortec ziejącą opoką,
Po nad winnic spustoszonym gajem,
Po nad świątyń strzaskaną kolumną,
Lecieliśmy po nad drogim krajem,
Jak gromniczne iskry, po nad trumną!...

Duszę moją i gołębia-posła
Moc anielska po nad światem niosła,
Aż nas wbiła w miejsce, nieruchomie:

Matko moja! przez gołębie oczy,
Na dół, w przestrzeń się spojrzałam ciemną!

....

Tam się chaty czerniły podemną,
Ogień chciwie darł się po ich słomie,
Z jękiem kobiet z desek ostrym trzaskiem,
Z hukiem belek i palonych wrzaskiem,
Ryk się bydła mięszał, tęskny, dziki...

Naraz — zaległy się w chór jeden krzyki:
Na spokojnych siedzib napastniki,
Jak lawiną z gór pędzące śniegi,
Z pola spadły naszych wojsk szeregi!

On tam był! był syn twój! W pierś gołębią
Tchnęłam żądzę moją, i rzuceni
Upadamy w szał krwi i płomieni!...

Już go widzę! — walczy tuż na przedzie,
Wszył się w tłumy, oto z ócz mi ginie!
Wtém się chata zawaliła z trzaskiem,
Przestrzeń krwawym oblewa się blaskiem...
Widzę!.. brat mój przez szeregi płynie...
Stanął!... Pędzim przez pożar, co hula,
— Gołąb' — a w nim dusza moja mała, —
Obsypani iskrami, — jak biała,
Owiośniana gałązka lipowa,
Rojem złotych pszczół, ruszonych z ula,
Już na pierś mu spadamy, jak strzała,
On do góry podniósł dłonie drżące,
Ubroczone dłonie, — witające,
Wtém... jęknęła ołowiu ulewa
Brat ku ziemi, chyli się, omdlewa,
Puch gołębi szarpie twarda kula:
Na skrwawioną ziemię, zniemożeni,
Złamanemi kładą się piersiami —
Wielki Boże! zmiłuj się nad nami!

....

Matko, długo już nie będę żyła,
Wszystka w ciele mojém mdleje siła,
Krwi nie czuję — serce się oziębia:
Duszę moją zabił strzał w gołębia.

Wł. Ordon.

Karol Swoboda.

(Malarz historyczny.)

Slavus sum, nihil slavici
a me alienum esse, puto.

W przeciągu kilku ostatnich miesięcy utraciła Sławiańszczyzna dwóch znakomitych synów. Ledwo zamknęła się Erbenowa mogiła, a już przychodzi nam opłakiwać przedwczesną śmierć Karola Swobody. Rozgłośny malarz historyczny sławą swoją napełniał całą Europę, strojąc jéj blaskami obszerną ojczyznę, na przestrzeni od Śródziemnego do Czarnego morza. Piękną zostawił po sobie spuściznę — koronę genjuszu, któréj ciężar dzisiaj do swojego dołączywszy wieńca, chyba wielki nasz Matejko na cześć Sławiańszczyźnie daléj poniesie... Dopókąd świeża jeszcze pamięć zgasłego męża w rozżalonych sercach tleje, spieszymy zebrać rozpierzchnione szczegóły prywatnego i publicznego żywota artysty, pozostawiając umiejętniejszéj ręce oznaczenie stanowiska jego w rozwoju sztuki sławiańskiéj.

Karol Swoboda urodził się 14 czerwca 1824 roku w Planicy, w Czechach. Wcześnie sierota, był wychowańcem, a następnie i przybranym synem stryja swojego, Alex. Wacława Swobody-Nowarowskiego, naówczas profesora przy gimnazjum Małostrańskiém w Pradze. Pod jego kierunkiem ukończywszy pierwsze nauki, słuchał następnie filozofji na miejscowym uniwersytecie, wielkie zdradzając zdolności. Nie na téj przecież drodze czekała go wielkość. W młodzieńczych już latach z rąk do rąk chodziły udatne jego szkice, a wiele późniéj wysoko cenionych prac jego przypada na tę epokę.

Jest rzeczą doświadczoną, że na drodze każdego prawdziwego talentu znajdzie się ręka w służbie opatrzności, która światło dobędzie z pod korca. Kto wié jakby się był rozwinął genjusz Swobody, gdyby nie udział téj saméj tajemniczéj siły, co kij pasterski Syxtusa na rzymski pastorał zamienia, a James'a Watta z kramu na szlak nieśmiertelności prowadzi. Młody artysta na zadatek przyszłości kreśli imponujący szkic „Bitwy pod Crespy“ — i oto Franciszek hr. Thun, porwany świeżością pomysłu i siłą wykonania, zniewala stryja Swobody do skierowania młodzieńca stanowczo na drogę sztuki. Wypadek ten rozstrzyga o przyszłości Karola. W roku 1842 wstępuje on do pragskiéj akademji sztuk pięknych, będącéj naówczas pod rektorstwem znamienitego Krysztofa Rubena, i niebawem przewyższa wszystkich swych towarzyszów. Z bogatéj duszy artysty spada klejnot za klejnotem. Pierwszy jego obraz; „Śmierć króla Wacława w Kundraticy“ mimo licznych błędów techniki i kolorytu, z ogólném uwielbieniem przyjęty, następnie jako premjum do „Lumira“ dołączony w kopjach rozszedł się szeroko. Gorący patrjota, Swoboda zachęcony tém pierwszém powodzeniem, postanowił się wyłącznie dziejom narodowym poświęcić. Z tego źródła wypłynęły najpiękniejsze utwory. Na pierwszym planie postawimy tu olbrzymi karton w stylu klasycznym, nazwany: „Wyrzucenie wielkorządzców czeskich przez okna zamku królewskiego w Pradze.“ Mając w ręku kopję tego obrazu, obiecujemy po zamienieniu „Tygodnika“ na illustrowany, podzielić się nim z czytelnikami. Pomysł epizodu zaczerpnięty z zaczętéj walki reformacji z katolicyzmem w Czechach. Opowiemy w krótkości samo zdarzenie i przedstawienie tegoż na obrazie Swobody. Pierwéj jednak należy narysować tło i prolog do mającéj nastąpić sceny. Jan Huss w kacerskiéj czapce popieleje na stosie konstancjeńskim. Walka stronnictw zapalona płomieniami tego stosu roz-

szerza się w Czechach z przerażającą potęgą. Dnia 15 lipca 1419 Hussyci zdobywają gwałtem zamknięty dla siebie wstęp do kościoła św. Szczepana w Pradze. Potém w uroczystym pochodzie, z duchowieństwem na czele, niosącém symboliczne kielichy w ręku, leją się ku miejskiemu ratuszowi w celu uwolnienia kilku uwięzionych braci. Szorstka odmowa, kamień rzucony z okna na jednego z księży, zapalają krew tłumu. Dziki, zuchwały przewodnik prowadzi.... drzwi ratusza pękają pod ciosami toporów, roznamiętnione rzesze wpadają do środka. W téj chwili rozlega się gromowy okrzyk Wilhelma Ruppy: „Wyrzućcie ich staroczeskim obyczajem za okno.“ I oto burmistrz z 12 radnymi spadają na dzidy stojących na dole. Taką jest pierwsza scena z 40 letniéj walki we wnętrznościach Czech, zakończonéj wyczerpaniem obudwu obozów. Mniéjwięcéj w 200 lat późniéj użyto tego samego dramatycznego środka. Już nieprzerażony widmem auto-da-fé mnich augustjański, podniósł na swych barkach i ukończył dzieło Hussa. Reformacja stała się faktem. Rudolfowi II trzeba się było liczyć z jéj wyznawcami. To też chcąc uzyskać w nich podporę tronu, listem królewskim nadaje im względną swobodę i przywileje. Środek ten rozdraźnia tylko bardziéj stronnictwo przeciwne, przemagające o wiele. Wydalają dygnitarzy reformowanych, sprowadzają wojska hiszpańskie. Wzburzenie rośnie. Stronnictwo katolickie, niebaczne na okropne skutki wojny domowéj, nie hamuje swéj gorliwości. Korzystając z chwili, zebrani wielkorządzcy katoliccy unieważniają lub za przedawnione uznawają przywileje listu Rudolfa II. Reformowani odwołują się do cesarza. Odpowiedź brzmi łagodnie lecz krzywd nie nagradza. — Wówczas rozpacz staje się doradzcą uciśnionych. Szlachta protestancka ostatnim wysiłkiem, z pozornym spokojem udaje się do możnowładzców katolickich: Sternberga, Leopolda von Lobkowitz, Martinitza i Sławaty, do izby poselskiéj na Hradczynie, i żąda oświadczenia, o ile należeli do wspomnionego wyżéj aktu. Sternberg i Lobkowitz przyjmują ich z umiarkowaniem, ale dwaj inni stawiają harde i wyzywające czoło. Spokojne naprzód przedstawienia zamieniają się w gwałtowną kłótnię — cała wreszcie sala zapełnia się ogłuszającym krzykiem. Kto wié, może duch Ruppy rzuca owe fatalne słowa: „Obyczajem staroczeskim wyrzućcie ich przez okno!“ Tę chwilę przedstawia obraz Swobody. Nigdy doskonaléj nie pochwycono namiętności religijnéj. Już Martinitz rzucony głową na dół, runął w zamkową fossę!.. Sławata rozpaczliwie chwytający ręką żelazną ramę, pod cięciem szabel puszcza ją i chyli się do upadku. Sekretarz, Fabricjusz, zasłaniający swoich panów, poderwany z ziemi, pasujący się jeszcze z pięknym hussyckim młodzieńcem, wnet ich los podzieli. Jakieś upojenie namiętności i groza poetyczna panujące w powietrzu całego utworu, udzielają się widzowi.

Dzieło to szeroko rozniosło sławę artysty. W 1848 roku wezwany przez L. Gaja do Zagrzebia, do zaszczytnéj pracy illustrowania „Dziejów illirskich.“ Badawczym obdarzon umysłem, zdołał w tym czasie poznać dokładnie obyczaje ludu Chorwatskiéj Sławonji i pogranicza wojskowego, zkąd po półroczu wróciwszy do Pragi, scenami narodowemi z tych okolic ogólne wywołał uwielbienie. Tu znowu zwróciwszy się do malarstwa historycznego, wykonał obrazy: Benvenuto Cellini, — Palestrina, — Jan Andrzej Slik, jak przed swojém straceniem odrzuca propozycję P. Sedecjusza przejścia na łono kościoła katolickiego, — Bitwa na Białéj górze i t. d. Wnet też siły jego duchowe miały się rozwinąć w całéj pełni. Potężnym ku temu czynnikiem było szczęście rodzinne, jakie mu przyniosła młoda i inteligentna małżonka, córka znamienitego muzyka i rektora Zofijskiéj akademji, Aleksandra Jelenia. W pożyciu z nią geniusz Swobody spotężniał i oczyścił się z uniesień namiętności, które mąciły niekiedy jego artystyczny spokój. W roku 1851 przeniósł się do Wiednia, gdzie działalność jego szersze zyskała dla siebie pole. W tym roku rozpoczął rysować karton do wielkiego obrazu, mającego przedstawiać „koronację Wratysława, pierwszego króla Czech,“ — który zamówiono dla pragskiego Belwederu. Na toż samo zamówienie wypracował wkrótce cztery obrazy: Wacław II, koronacja Alberta na króla czeskiego, — Cesarz Józef II. w Pradze, — Śmierć Św. Wacława. Pierwsze dwa z własnego pomysłu, następne podług szkicu Rubenowego. Do album wiedeńskich malarzy dał „Wjazd Maksymiljana I. do Gandawy po zwycięzkiéj bitwie w Jemappes.“ Jego obrazy: „Saski kurfirszt, — Jan Fryderyk w niewoli, (1857) — i Karól V. ucieka przed Maurycym, elektorem saskim z Tyrolu do Villachu“ (1859) otrzymały premjum z zapisu Reichla; ostatni z nich znajduje się w galerji wiedeńskiego Belwederu. Wśród prac tak różnorodnych i rosnącéj coraz sławy, nie uległ żadnéj przemianie. Zawsze skromny i nieubłaganie dla siebie surowy — bez zawiści patrzył na prace innych, serdeczną protekcją otaczając adeptów sztuki, któréj się poświęcił. Oto słowa jednego z współkolegów artysty: „Malarz, będący dla swych płodów surowym, nieubłaganym, a zarazem tak czułym ojcem, wcielający się z tak delikatném uczuciem w charaktery swoich bohaterów, nie może żadną miarą tworzyć rzeczy słabych ani miernych.“

W roku 1859 wykończył wielki obraz „Joanna Kastylska.“ Niewyczerpana twórczość jego ducha nie spoczęła ani na chwilę. W 1860 na wystawę Wejmarską posyła szkic: „Magnaci Medjolańscy przed Barbarossą.“ Szkic ten wykończony, jest jednym z najpiękniejszych obrazów czeskiego mistrza... Dzieli się on na dwie połowy. Wysoko na tronie, zimny, surowy, na podobieństwo wieku swego, jakby ze śpiżu ulany, siedzi Barbarossa. Z ironją i okrucieństwem nieuspokojonego jeszcze lwa spogląda na przeciągających dołem Medjolańczyków, lecz choć wielki jako zwycięzca, wydaje się małym w obec gwałtownéj siły psychicznéj zwyciężonych. Dumny i tryumfujący wzrok jego łamie się o gladjatorski spokój kobiét i mężczyzn Medjolanu. W ich naprężonych boleśnie pod pętami rękach, w spuszczonych oczach, — można jednak wyczytać twardą myśl: Zwyciężeni, ale nie zniweczeni!

Dla domu Schöllera w Wiedniu zrobił szkic do fresków, który chciał wykonać sposobem „Sgraffitos*)“, ale wykonanie to nie wytrzymuje surowéj krytyki, szkic do fresków „Wjazd pokoju“ na 500-letni jubileusz wiedeńskiego uniwersytetu, a w czasie tych robót malował jeszcze portret naturalnéj wielkości Franciszka Józefa I dla sali posiedzeń w Komitecie Pożegańskim w Sławonji. Już oddawna pieścił się dwiema ulubionemi myślami: pierwszą z nich było wydanie illustrowane rękopisu królodworskiego (w tym celu narysował dwie piękne ryciny: „Jeleń“ i „Opuszczona“), drugiém pragnieniem jego było zastąpić obrzydliwe bohomazy po kawiarniach, hotelach i prywatnych domach nawet rozrzucone, sfabrykowane po największéj części w Niemczech i Francji, — kopjami rysunków wziętych z dziejów czeskich, a wykonanych przez niego. Miały to być obrazy z życia Libuszy, z podań o księżniczkach i królewnach czeskich, postacie jak Ludmiły, Drahomiry, Świętawy, Dagmary, Duńskiéj królewny, niewiast taborskich, Ewy Lobkowiczówny i t. d.... Chciał tym sposobem rozwinąć poczucie estetyczne i znajomość dziejów w szerokich kołach narodu. W przeciągu tegoroczńéj zimy postanowił pracować nad niemi. W dalszym ciągu rozpoczętych illustracji, ozdobił rysunkami „Waldfräulein“ Zeidlitza i „Ottona der Schütz“ Kinklowego i po-

*) Sposób malowania al-fresco.

trafił jeszcze zbogacać swemi pracami „Kvety“ i „Svetozora.“ Illustracje jego są arcydziełami delikatności i intuicji. Zdawałoby się, że poezja i rysunek są utworem jednego mistrza. Wykonane przez jednego z najznakomitszych drzeworytników niemieckich, F. W. Badera, wyszły one nakładem ksylograficznego zakładu R. v. Waldheim.

Śmierć zastała niewyczerpanego artystę w pośród pomyślanych i zaczętych szkiców do prac olbrzymich. Wymienimy niektóre z nich: „Król Jan w bitwie pod Krespy“ — „Cesarz Rudolf I spoglądający na zmarłego króla Przemysława Ottokara“ — „Jan Huss przed ojcami kościoła“ — „Kazanie Hussyckie“ — „Kazanie Jana Kapistrana w Wiedniu“ — „Studenci Pragscy w roku 1648“, — a oprócz tego zostawił po sobie znaczny zbiór pieczęci, szczególniéj czeskich i autografów, które nabędzie niewątpliwie na własność Czeskie muzeum.

Śmierć jego uderzyła jak piorun niespodzianie rodzinę i ojczyznę. Silnie nerwowy padł ofiarą choroby, zabijającéj szczególnie ludzi poświęcających się sztuce. Umarł na pęknięcie serca w łaźni 13 przeszłego miesiąca. Traci w nim ludzkość wielki genjusz, a Sławiańszczyzna nie tylko sławnego syna, ale także człowieka gorącéj miłości dla całego swego plemienia, obywatela skrzętnéj działalności i ogromnego wpływu. Świadek jego życia w Wiedniu tak pisze: „Był on jednym z głównych czynników tutejszego ruchu Sławiańskiego i to tak społecznego, jako i artystycznego, — był wiceprezesem tutejszéj biesiady sławiańskiéj, prezesem stowarzyszenia sławiańskich śpiewaków, członkiem wiedeńsk. Sokoła i innych towarzystw, za których sprawami gorliwie chodził, — za prawami Słowiańszczyzny ujmował się wszędzie i to tak wyraziście a gorąco, że cała tłuszcza apostatów tutejszych, — bojaźliwa i usuwająca się przed nim, dawała najlepsze świadectwo jego uczuciom, chrząc go „Ultraczechem“ i „Panslawistą.“

Tém kończymy niniejszy rys biograficzny, — niech on będzie świadectwem naszego żalu i pamięci o wielkim sławiańskim genjuszu.

Władysław Ordon.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Piszę to w dniu feralnym. Od samego rana szereg najfatalniejszych przygód ścigać mnie nieprzestawał. Rozdarta suknia — stłuczona szklanka, zaczepienie jednego z największych gadułów miasta, oto kilka kompromitujących wypadków, z których dzień mój się złożył. Myślałem że odpocznę. Gdzietam! równo ze zmrokiem spłoszyły mnie illuminacje, złociste gwiazdy i transparenta, tłumy wyległe na ulice. Mrużąc oczy, uciekałem do mojéj izdebki a za mną goniły syki ogni bengalskich — pękanie rac, petard i Bóg wié jeszcze jakich okropności!

Dom wydawał mi się bezpiecznym portem. Daremnie! Nie ujdziesz losom. Na stole moim leżał okazale numer „Journal de Port Said“ a z odcinku tego barbarzyńskiego pisma uśmiechał się do mnie czarnemi zębami tytuł: „Le futur Empire d'Allemagne“ zdjęła mnie zgroza i nie prędkom się przekonał, że feuilleton ten mieści w sobie najniewinniejszy program przyszłéj Monarchji Niemieckiéj, zrodzony w humorystycznéj wyobraźni jakiegoś Egipcjanina. Próbowałem się uśmiechnąć i udało mi się to pierwszy raz w dniu owym. Schwyciłem więc ten promyk słoneczny i postanowiłem oświecić nim obecną kronikę, na pociechę tym, co lubią żyć i trawić spokojnie. Poczciwi ludzie! odkryli prawdziwego szczęścia tajemnicę, nie kłopocą się losami narodów, ani pojedynczych ludzi, nie obchodzi ich czy „Kraj“ kocha „Tygodnik Wielkopolski“, nie pytają czy prawda że p. Anczyc napisał libretto do „Żaków krakowskich“ a p. Stanisław Dobrzański „Łobzowian“ albo vice versa, — zasypiają spokojnie w przekonaniu, że Europa i Poznań nie ruszą się z miejsca...

* * *

Tymczasem, nie mówiąc o Europie, Poznań rusza się i to niepomału. Z redakcji Dziennika Poznańskiego wychodzi artykuł za artykułem, jużto traktujący kwestję teatru, już podnoszący piękną myśl założenia szkółek wieczornych dla rzemieślników, — wybory ściągają do miasta wiele osób z prowincji, i gromadzą przedstawicieli na sali Bazarowéj; 12. b. m. było tam walne zebranie koła prawyborczego do izby poselskiéj. Zgromadzenie było nieliczne. Przyznać potrzeba, że po walnych zgromadzeniach w Krakowie i Lwowie, mała sala Bazarowa, wydawała się nam bardzo pustą. Zgodzono się na głosowanie przez aklamację i podano zgromadzeniu listę 16 kandydatów, pomiędzy któremi znalazły się imiona p. J. I. Kraszewskiego i Karola Boromeusza Hofmanna. Te dwa ostatnie imiona postawiono na skutek pięknego wniosku, jednego z członków który podjął pomysł „Dziennika Poznańskiego.“ Szanowny wnioskodawca wyszedłszy z zasady, że przy obecnym wzroście Państwa i my Polacy szerzéj naszą narodowość reprezentować powinniśmy, zaproponował zebraniu wybranie na posła jednego ze znakomitych Litwinów lub Polaków, którzy nie pod rządem pruskim urodzeni, byliby jednak poddanemi którego z państw Rzeszy. Tym sposobem nie tylko w obec narodu ogólne jego interesa ale i w obec Europy ideę naszéj nierozdzielności reprezentować on będzie. Wniosek przyjęto jednogłośnie. Następnie p. Dobrowolski w krótkich słowach skreślił życie i działalność p. Karola Hofmanna, który po odbytém głosowaniu wraz z Kraszewskim, przeszedł jednogłośnie.

W tym samym dniu odbyło się walne posiedzenie Towarzystwa Starych Przymysłowców, z którego sprawozdanie na przyszłość odkładamy. Pędzi nas bowiem, (o dziwo!) niesłychana mnogość materjałów, od których wzdymają się czarne boki teki kronikarskiéj. Poważny prospekt na gramatykę sanskrytu, księdza Malinowskiego leży przed nami. Znakomity badacz, którego obszernych pomysłów dotąd jeszcze, jak należy, nie oceniono, wzbogaca swém dziełem literaturę naszą naukową. Zapewne inne pisma mające ku temu więcéj przestrzeni, powtórzą w całości wymowne słowo wstępne szanownego autora, my poprzestaniemy na odezwaniu się za p. Dr. Rzepeckim, wydawcą tego obszernego dzieła, „że każdy dzień zwłoki w publikowaniu prac ks. Malinowskiego jest niepowetowaną dla narodu stratą.“ A zwłokę tę usunąć może tylko dobra wola publiczności, spieszącéj z prenumeratą. Na polu wydawnictwa zapisujemy „Noworocznik przemysłowy“ p. dra Łebińskiego, biorącego niespracowany udział w ruchu ekonomicznym naszego miasta.

Z powiedzianego wyżéj widać żeśmy nie przesadzali zaznaczając niezwykłe krzątanie się w mieście, gotuje się nawet maleńka emigracja... na prowincję. Urządzają komitet teatralny. Słyszeliśmy o projekcie rozesłania akcji budowy nowego teatru pomiędzy obywateli, którzy już tyle dobréj woli dla sceny polskiéj objawili. Pomysł to dobry, lepszy od rozesłania wprost, już choćby dla tego, że perswazja a niekiedy nawet natarczywa namowa są w sprawach podobnych koniecznością i przez wybranych delegatów zbliska najłatwiéj użyć się dają. Wzgląd pośpiechu, tak istotny w kwestji bu-

dowy teatru, powinien także wpłynąć na rozesłanie akcji w powyżéj wskazany sposób. — Bodajby w tym względzie komitet miał gorliwość owego Szlązaka, o którego opieraniu się germanizmowi wspominaliśmy niedawno. Szlachetnym jego usiłowaniom przyszliśmy w pomoc, pewna ilość zebranych książek, przesłana na jego ręce wywołała w odpowiedź okrzyk tak szczeréj wdzięczności, tak naiwnie radosnéj, że spieszymy go tutaj powtórzyć: „Odebrałem one ksiażki dziewiętnastego tego miesiąca wieczorem, za które z serca Wielmożnemu Panu najniższe składam dzięki, boć muszę przyznać kochanemu Panu, iżem jeszcze w życiu mojém nie posiadał większéj radości jak teraz przy odbieraniu onych książek i jak téż mojm współtoważyszom, którzy się zaraz wszyscy ku mnie z całego młyna zbiegli skacząc od radości i pytając się mnie jeżeli im pozwolę czytać, na otrzymane pozwolenie rozbiegły się książki wnet po całym młynie a ja zaś mając strach by mi się która nie zgubiła gdyżem ich niemiał czasu porachować boć to jest największą moją uciechą w tym życiu czytać książki i czasopisma polskie.“ Zacny nasz Szlązak, kierowany popędem patrjotycznym mówi daléj, że chciałby się przenieść w bardziéj polskie strony. Niech cię Bóg broni, bracie, tameś najpotrzebniejszy, stój jako żołnierz na czatach.

Pewni, że postać naszego Szlązaka potrafi zainteresować czytelników, chcemy dążeniom jego, z współudziałem ogółu, przyjść skutecznie w pomoc. W tym celu odzywamy się do życzliwych czytelników naszych, prosząc ażeby składaniem książek na nasze ręce zebrali nową przesyłkę dla braci na Szląsku.

* * *

Zapowiadają nam przybycie pana Chodeckiego, który tak znamienicie muzykę z deklamacją łączy. Ostatnim razem zapisaliśmy bytność pana Stysińskiego, dzisiaj do tych nabytków muzycznych miasta musimy dodać wiadomość o znanéj ze swego talentu wokalnego pannie Krasowskiéj, która na stałe osiedliła się w naszym grodzie, co, chcącym kształcić się w muzyce i śpiewie, da możność korzystania z jéj w tym kierunku zdolności.

* * *

Na zakończenie zapowiadamy czytelnikom znaną a nie graną dotąd komedję Wiktora Sardou pod tytułem: „Frou-Frou“ najorganiczniejszą z dzieł jego na benefis p. Nowakowskiéj, i korzystając z znajdującego się w tece redakcyjnéj wiersza Władysł. Bełzy, wypowiedzianego w rocznicę otwarcia sceny narodowéj, kończymy nim niniejszą kronikę:

Oto rok ubiegł i znów przed wami,
Stajemy z chętną posługą:
Choć nieraz znojem, trudem i łzami,
Drogę znaczyliśmy długą.
Lecz nas niezgięło nigdy zwątpienie,
Ani padaliśmy w męce,—
Ufni, że troskę o polskiéj scenie,
W wasze złożyliśmy ręce.

* * *

Oto rok ubiegł... Jak w skwarne lata,
Gdy słońce kłosy powarzy:
Marna przypadnie żeńcom zapłata,
I łza zawiśnie na twarzy...
Lecz żaden czoła nie chyli w trwodze,
Tylko nadzieją się krzepi:
Tak szliśmy ciągle po twardéj drodze,
Mówiąc, że będzie nam lepiéj!...

* * *

I znów w tym gmachu złotych nadziei,
Gdzieśmy stawiali ołtarze;
Wierni podjętéj przez was idei,
Przy dawnym stoim sztandarze!
Pod jego godłem rzesza strudzona,
Bez ognisk własnych, bez domu:
Staliśmy niby czata stracona,
U polskiéj mowy wyłomu,

* * *

W dziejów narodu spojrzawszy wnętrze,
Z nich blasku czerpiąc natchnienie:
Wszystko, co braciom było najświętsze.
Na tej stawialiśmy scenie!
Tu duch Zygmunta, tu cień Barbary,
Tu szereg wojów i ziemian;
Dzielny Czarniecki i Miecznik stary,
Krzepili ducha naprzemian.

* * *

Stojąc na straży świętych pamiątek,
Myśli szerokiéj i wolnéj...
Z głębi serc polskich snuliśmy wątek,
Do naszéj pracy mozolnéj,
Nam się niegodzi chlubić z swych czynów,
Niechaj je naród oceni!
Lecz wy pytajcie i cór i synów,
Czy ztąd odeszli zgorszeni?

* * *

Czyśmy ich młode skazili serce,
Jadem zepsucia lub zdrady?
Czy też krzepili ducha w iskierce,
Przez szczytne przodków przykłady?
O! duchu Polski! grzéj nas swém tchnieniem,
Prowadź przez szereg lat długi!
— Pod tym, nadziei, jasnym promieniem,
Dzisiaj wstępujem w rok drugi!

Korespondencja z Berlina.

Berlin, 20 stycznia.

Kolega mój z Krakowa rozpoczął szereg swoich korespondencji charakterystyką jagiellońskiego grodu; — jest to najstosowniejszy początek. Korespondencje bowiem z jakiego miasta, prowincji lub kraju — to szereg obrazków z najrozmaitszych gałęzi działania i życia, obrazków połączonych ze sobą jedném tłem, jednym ogólnym zarysem. Tłem i tym zarysem to duch, to fizjonomja i charakter miejsca. stosunków i ludzi; trzeba je poznać nasamprzód, aby zrozumieć tém łatwiéj pojedyncze ich objawy i wyniki. Postanowiwszy więc nadsyłać Wam co miesiąc przynajmniéj jednę korespondencję z Berlina, rozpoczynam ich szereg — daj Boże najdłuższy — ogólną charakterystyką téj stolicy Niemiec, a może niezadługo i — świata.

Fizjonomję Berlina w dwóch słowach skréślićby można; głównemi jéj rysami są chłód i martwota. W porównaniu z innemi, choć mniejszemi Niemiec miastami, Berlin jest odstraszającym. Drezno, mniéj wspaniałe i wielkie, tak pociągającém jest jednak i uśmiechniętém, tak wiele posiada błogiego spokoju i ożywczego ciepła, iż nasze salonowe znakomitości płci pięknéj i strasznéj tamże co zimę w niemałéj zjeżdżają się liczbie, a podeszli w latach panowie i panie spędzają chętnie ostatnie dni życia; kto zna gust trafny Polaków we wszystkiém co przyjemności się tyczy, temu to będzie dostateczną Drezna oceną. Monachjum, mimo niewielkich stosunkowo rozmiarów, pełném jest światła i życia, na wskroś przesiąkłém poezją, Norymbergja, Ratysbona, Moguncja wabią stubarwną, dziwaczną fantazją, nawet z brudnych i posępnych murów Wrocławia wieje dziwnie ujmująca dobroduszność, —

a w Berlinie, pomimo wielkich budowli, pomimo ulic obszernych, pomimo licznych teatrów i rozmaitych lokalów najrozmaitszéj zabawy, pomimo blisko miljona mieszkańców, jakaś sztywność nieznośna, męcząca, jakaś bezbarwność i chłód przenikający. Nieliczne Berlina piękności w pierwszéj tylko chwili zająć nas mogą, późniéj dziwny sprawiają niesmak i obojętność; każdéj przyjemności, każdéj zabawie, z jaką się spotkać tu można, brak ciepła, brak siły przyciągającéj. Berlin znośniejszym jest jeszcze w jesieni i w zimie, w atmosferze chłodem przejmującej, pod ołowianém nieba sklepieniem; w porze wiosennéj i letniéj jasny błękit, ciepło powietrza, słońce uśmiechnięte z ponurém, zimném i martwém obliczem stolicy nieznośną tworzy dysharmonję; kwitnące Podlipie, Zwierzyniec rozzieleniony i cała w okół okolica, któréj nie można odmówić piękności, rozweselić nas mogą chwilowo. Zdaje się, że potoki krwi sławiańskiéj, na których się wzniosła stolica, niezatarte na jéj obliczu wypaliły piętno, że militarny despotyzm przytłumił wszystko, co piękne, wesołe i żywe, że duch mieszkańców wcielił się w te mury i mrozi nam serca swém tchnieniem. Charakter Berlińczyków w zupełnéj z fizjonomją miasta zostaje harmonji. Berlińczyk to ideał egoizmu; w średnich szczególniéj warstwach, wśród owych mieszczan prawdziwych dziwna panuje duma względem wszystkiego „z prowincji", nienawiść do wszystkiego co obce. W oczach „spiessbürgera" Niemiec jest szczytem doskonałości, tylko on ma prawo do władzy nad światem, powiedzieć można, do życia. Kto chce poznać tę klasę właściwych, salonowym polorem nienaruszonych, mieszkańców Berlina, niechaj wieczorem zasiądzie z nimi w piwiarni i wypróżniając kufel po kufelku, niech zgłębi w poufałéj gawędzie tę otchłań samolubnéj chciwości. Dzięki Bogu, iż hr. Bismark nie pójdzie za radami tych mężów, — inaczéj biada narodom! Egoizm ten wyradza u Berlińczyków brutalną prawdziwie rubaszność, któréj tutaj zwykła Niemcom dobroduszność złagodzić wcale niezdoła. Przeczytajmy gazety berlińskie, spojrzyjmy na bezwstydne czasem karykatury, w najpierwszych wystawione księgarniach, przysłuchajmy się politycznym szczególniéj rozmowom, obejdźmy teatra ludowe, zwiedźmy czasem balet w operze, a poznamy do jakiego to stopnia wyższe nawet warstwy mieszkańców ogołocone są z poczucia taktu i przyzwoitéj godności. W dalszym ciągu moich korespondencji niejednokrotnie zdarzy mi się sposobność wykazać Wam pojedyncze objawy tych dwóch głównych wad Berlińczyków. Nie chcąc być jednakże stronniczym, muszę wspomnieć o wielkich zaletach, jakiemi ludność Berlina słusznie poszczycić się może. Kto miał sposobność przebywać po miastach stołecznych, kto mianowicie w pomyślniejszych dlań czasach choć krótko bawił w Paryżu, temu duch i fizjonomja Berlina małomiejską zapewne się wyda. Wielkoświatowe życie dopiéro rozwijać się zaczyna; arystokracji rodowéj i pieniężnéj nie znać tu jakoś na ulicach, sławna na bruku paryzkim klasa tak zwanych flaneurs, ludzi bogatych i młodych przeważnie, dla zabicia dręczącego czasu bez celu włóczących się po mieście, jest tutaj prawie nieznaną. Spojrzyj na twarze przechodzących, na wszystkich maluje się zajęcie, wejdź do którego z większych widowisk, znajdziesz w pierwszych lożach młodych panów i panie z wytężoną słuchających uwagą, choćby Antigony Sofoklesa, — niéma tu ludzi, którymby krzesło teatralne wygodném było miejscem do drzémki, — wyjdź o północy na ulicę, a zdziwisz się nad tą ciszą i pustką; zaledwie rozweselony akademik spotka cię na samotnéj przechadzce. Praca tu wytrwała i skrzętna we wszystkich warstwach ludności; Berlińczyk zna wartość czasu i chwil na próżno nie traci; młodzież wyższych stanów, służy w wojsku lub w administracji. — bezczynność jest tutaj grzechem. Dla tego świat wyższy porówno żyje z innymi; podczas kiedy w Paryżu wieczorem i w nocy dopiero widzieć go można na mieście, tutaj jak inni śmiertelni, rano powstaje do pracy, wieczorem używa wywczasu, a w nocy snem się pokrzepia. Ztąd Berlin wieczorem najwięcéj jest ożywionym; każdy po całodziennéj pracy pospiesza rozweselić się trochę. Spiessbürger zdąża do piwiarni, zazwyczaj do téj saméj codziennie, i racząc się ulubionym napitkiem, na gawędce przesiaduje do północy; jeżeli jest ojcem familji wybiera się z wszystkimi jéj członkami do jednego z mniejszych teatrzyków, gdzie za opłatą trzech srebrników siedzi sobie wygodnie przy piwie i słucha solonych dowcipów, bardzo jednoznacznych piosnek i niezbyt estetycznych alluzji do bieżących wypadków politycznych. Teatra te spekulują na usposobienie publiczności i niezłe robiąc interesa, mnożą się z każdym dniem prawie. Jakie tam czasem utwory wchodzą na deski sceniczne, o tém w przebiegu moich korespondencji niejednokrotnie z przykładów przekonać się będziecie mogli. Zamożniejsi natomiast mieszkańcy licznie po innych zbierają się teatrach. Mianowicie opera w wielkich u publiczności jest łaskach, budynek co wieczór zajęty; Berlińczycy lubują się w muzyce, a zarząd opery królewskiéj ich życzenia zaspokoić się stara. Zapoznamy Was przy sposobności z głównémi jéj filarami. — Tak zwany, „Schauspielhaus" jest znowu miejscem, gdzie się przeważnie zbiera berlińska intelligencja. Panuje tam straszna powaga; nietylko bowiem na scenie klasyczne wyłącznie ukazują się sztuki, ale nawet, ażeby widzom nie pomięszać doznanych wrażeń, muzyka międzyaktowa wykluczoną jest z tego przybytku. Teatr Fryderyka Wilhelma poświęcił się lżejszéj komedji, teatr Wallnera krotochwilom i farsom, teatr Victorji dekoracyjnym effektom, teatr Krolla w porze zimowéj operom poważnego zakroju, które dla cen niewysokich przystępne są i niższym warstwom publiczności. Komiczne zaś operetki, wyroby Offenbacha i Sp. tak wielką u Berlińczyków znalazły sympatję, iż wyjąwszy teatrów królewskich, na każdéj pojawiają się scenie. Wspomnieć mi tu jeszcze wypada, iż dzięki staraniom dworu, co rok na czas karnawału zjeżdżało w mury Berlina grono wybornych artystów francuzkich. Przedstawienia te, na małéj sali Schauspielhausu się odbywające, były rozkoszą arystokracji i intelligencji, — czy się kiedykolwiek ponowią, o tém nam wątpić należy. — Widowiska teatralne są. jak powiedzieliśmy, ulubioną zabawą Berlińczyków. Natomiast sztuki plastyczne malarstwo i rzeźba nie wielkiém cieszą się uznaniem. Akademja sztuk pięknych na nizkim stoi dziś stopniu, muzeum berlińskie, którego galerja rzeźb i obrazów nie wiele posiada znakomitości, w znacznéj części przez obcych tylko odwiedzaném bywa; dzieła żyjących tu artystów wędrują zwykle do Monachjum, do Wiednia lub Drezna, w Berlinie nie znajdując pokupu. W poezji i w beletrystyce nietylko zupełna stagnacja, lecz i zacofanie widoczne; publiczność karmi się przeważnie nędznemi romansidłami bardzo tuzinkowych pisarzy i pismami perjodycznemi, które założone dla zysku, więcéj baczą na taniość niż na jakość zamieszczanych utworów. I dla nauk ścisłych minęła już era świetności, epoka Savigny'ch, Gansów, Herrmannów i Boecków. Praca tu wprawdzie wytrwała, usilna, ale brak znakomitszych zdolności, brak twórczych genjuszów, co w naukach nowe odkrywają drogi, więcéj tu skrutatorstwa, drobnostkowych poszukiwań i sporów, mniéj myśli jasnych, potężnych. Typem mędrców dzisiejszych, uczony w okularach, szlafroku i pantoflach. który przy fajce i piwie gotów pisać dzieło olbrzymie o jednéj partykule greckiéj. Duch narodu inną zajęty dziś myślą; czy po jéj urzeczywistnieniu w sfery idealniejsze unieść się zdoła, o tém dziś sądzić nie można.

Przegląd literacki.

O życiu i dziele optycznėm Vitellona, napisał Dr. L. Wituski. — Poznań, nakładem autora 1870.

Odgłos wojennėj wrzawy, wyrywając z łona rodzin ojców, braci, synów, wypróżniając rękodzielnie, fabryki i wszechnice, niepoślednio wpłynął i na ciche i skromne prace uczonych mężów, udaremniając swobodną komunikację i wymianę zdań i myśli, tamując rozwój nauk i umiejętności. Uwaga wszystkich zwrócona na olbrzymie zapasy dwu wrażych sobie plemion, na tytaniczne wysilenia szlachetnėj Francji, broniącėj z odwagą i zaciekłością ranionėj lwicy swėj niepodległości, i na druzgocącą wszystko w niepowstrzymanym pochodzie nawałę germańską, co zmieniwszy odwieczny prąd, znany pod nazwą „Drang nach Osten“ rzuciła się na zachód, aby i dzielnym Frankom nie poraz pierwszy dać poznać siłę swego ramienia.

Toż nie dziw, że tėj powszechnėj uwagi, czekającėj w osłupieniu i niemym podziwie, w jaki ją groza wojny wprawiła, ostatecznych wypadków onego przez heroldów przyszłėj niemieckiėj jedności zapowiedzianego dziejowego przełomu, — że powtarzam owego zajęcia niezdolne przerwać i ku sobie zwrócić skromne objawy naukowėj pracy i owe zwolna, lecz bezustannie a systematycznie w dziedzinie nauk przyrodzonych zwiększające się zdobycze, które skutkiem tego pozostają w ciasném kółku specjalistów, nie mogąc się rozszerzyć użyźniającym wylewem w dalsze koła ludzi w jakikolwiek bądź sposób nauce się poświęcających.

I nam w usiłowaniach i pracach naukowych obecna wojna dała się we znaki, paraliżując n. p. gorliwe zabiegi naszych przyrodników i lekarzy — co zgromadziwszy się w Krakowie na pierwszym zjeździe — a złączeni węzłem zamiłowania tych nauk, którym poświęcili życie, postanowili w roku zeszłym zjechać się w Poznaniu i tam dzielić się nagromadzoną długoletniém doświadczeniem wiedzą, naradzić się nad środkami podniesienia i spopularyzowania u nas tėj gałęzi nauk, mającėj tak wielką i świetną przyszłość przed sobą.

Tymto „członkom drugiego zjazdu lekarzy i naturalistów polskich w Poznaniu“, zjazdu który po usunięciu wszystkich przeszkód, po załatwieniu wszelkich przygotowań, dokonanych przez dr. dr. Mateckiego i Mizerskiego, z powodu wybuchu wojny odroczyć musiano, poświęcił autor swą pracę o mężu europejskiėj sławy, naszym Vitellonie, vulgo, ale mylnie Ciołkiem zwanym.

Professor dr. Wituski, znany nam ze swėj „rozprawy z optyki“, umieszczonėj w programie gimnazjum św. Marji Magdaleny w Poznaniu na rok szkólny 1861/62, zająwszy się zbadaniem życia, działalności i naukowego stanowiska naszego wielkiego optyka z XIII. wieku, niepomierną oddał przysługę tak fachowym naturalistom jak i czytającemu ogółowi, wyprowadzając z zapomnienia, albo co najmniėj z poza mglistėj przeszłości tę postać znakomitą, którą nam cudzoziemcy, zajrzący Polsce wszystkiego, co wielkie i sławy aureolą otoczone, a niezrażeni bynajmniėj niefortunnym na Kopernikową narodowość napadem, wydrzeć a sobie przywłaszczyć chcieli.

Cała rozprawa podzielona na trzy części: w pierwszėj zawarta wiadomość o życiu Vitellona, w drugiėj śledzenie rozwoju optyki aż do XII wieku, a w trzeciėj szczegółowy i wielką znajomością rzeczy odznaczający się rozbiór dzieła Vitellonowego, p n:

„Vitellonis Mathematici doctissimi, περι οπτικης, id est de natura, ratione et projectione radiorum visus, luminum, colorum atque formarum, quam vulgo prospecti vam vocant libri X. Norimbergae apud Jo. Petreium. Anno 1535 etc.“

„Jestto prawda powszechnie przyjęta, (pisze autor na wstępie) że żaden naród nie może mieć dokładnėj historji piśmiennictwa swego, dopóki niema rozlicznych gałęzi jego osobno opracowanych.“

I zaiste! brak obszernych a gruntownych monografji, jest bodaj czy nie jedyną przyczyną niedokładności błędów, lekkiego traktowania dziejów naszėj literatury, zostających mimo przydługiego szeregu dzieł w tym przedmiocie napisanych, dotychczas, że tak powiem, w niemowlęctwie, bo nie wznoszących się po nad poziom bibliografji, w jakiėj to stanie widzimy je od czasów Bentkowskiego, Jochera i t. d. I w tém leży przyczyna tylu fałszów i usterków, powtarzanych od lat tylu w każdym podręczniku historji literatury, a znachodzących się, że już nie powiemy w takich ramotach, jakiemi są kontynuacje „Rysu dziejów piśmiennictwa polskiego Lesława Łukaszewicza“ któremi w większėj części młodzież gimnazjalna się posługuje — ale i w innych o poważniejszym zakroju dziełach, jak Bartoszewiczu, a i w samych ojcach naszėj historji literatury, w Bentkowskim i Wiszniewskim.

Mężowie, którzy na polu piśmiennictwa pracują ze skutkiem, niemałą wyświadczyliby ojczystėj literaturze przysługę, rozświecając jėj dzieje badaniem pojedynczych postaci dawnych Polaków, odznaczających się bystrością umysłu, wyprzedzających wiek swój polotem genjuszu, w czém za wzór posłużyć im mogą autorowie rozpraw o Klemensie Janickim (Masłowski) o Dantyszku (Czaplicki) o Stanisławie Orzechowskim (Kubala) itd. Ileż to tym sposobem sprostowaćby można fałszywych opinji o mężach znakomitych, a obarczonych zbiegiem różnych okoliczności najniesprawiedliwszemi zarzutami, po nad którymi, jakby klątwa jaka ciąży ono złowieszcze „male sonat“ wędrujące tradycyjnie z księgi do księgi za jakimś pessymistą, któremu w ten sposób spodobało się określić niezrozumiane stanowisko wielkiego męża.

Niestety! wiadomości o życiu Vitellona (tak go nazywa Dr. Wituski, opierając się na tém, że tak się sam zowie, tak Tanstetter, tak Risner, choć go wszyscy nasi historycy nazywają Vitellio) są bardzo szczupłe, i ograniczają się na tych kilku szczegółach, że ojciec jego na początku XIII. wieku, sprowadził się z Niemiec do Polski, że matka Vitellona była prawdopodobnie Polką (bo tak się sam Vitello wyraża o sobie: „...... filius Thuringorum et Polonorum“) że się urodził lub pierwsze nauki pobierał około Wrocławia lub Krakowa, że udawszy się na nauki do Padwy i Rzymu, wkrótce w uczonym świecie zasłynął, że pisał uczone traktaty filozoficzne i astronomiczne: „de ordine entium“ — „de scientia motuum coelestium, de elementatis conclusionibus, de philosophia naturali“ — że nakoniec na prośby Wilhelma Morbety, dominikanina spowiednika Klemensa IV. autora dzieła „De Geomantia“ napisał około 1269 roku sławne dzieło, które samo jedno naszym czasom dostało się w puściźnie, że to dzieło dedykował onemu Morbecie, protektorowi a mecenasowi swemu, i że prawdopodobnie był księdzem oto wszystko, co powiedzieć można o życiu Vitellona. Autor w części tėj prostuje niektóre błędy ks. Chodynieckiego, Wiszniewskiego i t. d.... o onėj wiosce Borek, co miała leżeć koło Krakowa, o błędnėj nazwie Ciołek, co niewiadomo jakiem prawem dostała się Vitellonowi, o mogile Krakusa i górze Lassoty, na którėj Vitello miał robić optyczne obserwacje — o fantastycznėm identyfikowaniu Vitellona z Twardowskim — i w końcu zdanie Tanstettera, pierwszego wydawcy Vitellonowėj optyki, nazywającego naszego rodaka „hic noster Vitello“ i Jana Regiomontana pospołu z Waltherem, przywłaszczających sobie już gwałtem uczonego optyka.

„Ze wszystkich, którzy pisali o Vitellonie (pisze autor na str. 12) oprócz ks. Bystrzyckiego żaden albo go w ręku nie miał, albo nie przeglądał z tą uwagą i zastanowieniem, jakiego wymaga zgłębienie myśli, albo wydanie choćby powierzchownego tylko sądu. Ks. Bystrzycki rozebrał dzieło Vitellona w rozprawie: „O wzro-

ście nauk fizycznych w Polsce", czytanéj na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk dnia 15. stycznia 1818, znajdującéj się w XII. tomie roczników Towarzystwa. W niéj zebrał wszystko, co się o życiu zebrać dało — ale o dziele powiedział tylko tyle, ile się z treści przed każdą książką umieszczonéj dowiedział. Wiszniewski, Chodyniecki i inni dosłownie niemal uwagi ks. Bystrzyckiego odpisali, gdzieniegdzie tylko niektóre słowa zmieniając."

Otóż mamy najlepszy dowód, jak się u nas kują historje literatury, słowniki, encyklopedje i inne tego rodzaju dzieła — co zresztą jest rzeczą naturalną, a dopoty się powtarzać mającą, dopóki dokładne monografje nie rozświecą wszystkich dziedzin literatury, dopóki ludzie światli nie ocenią bezstronnie wszystkich głównych osobitości. Iluż mężów z wieku XVI, tak płodnego w wielkie umysły, iluż to dyplomatów, biskupów, prozaików i poetów po polsku i po łacinie piszących oczekuje historyków!

Sprzeczne sądy, jakie o zasługach Vitellona na polu optyki wydali najznamienitsi uczeni, z których jedni, jak Keppler, Rissner, Broscius nazywają go „author opticae artis", a drudzy zaś, jak Porta, Maurolycus i Montucla, nazywając go pono małpą Alhazena, słynnego Araba, wszelkiéj mu odmawiają twórczości — te sądy skłoniły autora do poświęcenia drugiéj części rozprawy pobieżnemu zbadaniu rozwoju optyki od najdawniejszych czasów aż do wieku Vitellona. Zacząwszy tedy od Plutarcha, podającego w dziele swém: „O zdaniach filozofów" zapatrywanie się Epikura Hipparcha na najzwyczajniejsze zjawiska światła, prowadzi nas autor do Arystotelesa i jego dzieł: „O duszy" „O zmysłach" „O kolorach" — rozwija zdanie Euklidesa, Ptolomeusza, a następnie zaznajamia nas z pracami Arabów, co wyzyskawszy źródła greckie, w IX. wieku staraniem Kalifa Bagdadu, Almamona, na język arabski przełożone, popchnęli zaniedbaną od czasów Ptolomeusza optykę na nowe tory. A znów między Araby najbardziéj się odznaczył Alhazen, uczony optyk z XI w. którego dzieło z dwu rękopisów paryzkich wydał w r. 1572 Riesner pospołu z dziełem Vitellona. Owoż z tym Alhazenem dziwnie splecione są dzieje naszego optyka, bo mu od dawnych czasów zarzucała zuchwała krytyka zbrodnię niesłychaną przed laty — bo plagiatorstwo — tak bardzo w nowszych czasach rozpowszechnione, że się aż osobnemi prawami przed niem warować trzeba było.

Niewiadomo, w jakim języku Alhazen ksiąg swych siedmiorgo napisał, prawdopodobniejsze zdanie przemawia za oryginałem arabskim; niewiadomo również, kto je tłumaczył, czy wydawca Risner, czy nasz Vitello, czy kto trzeci? Dowody, jakiemi autor popiera swe twierdzenie, jakoby Risner nie mógł być tłumaczem Alhazena, nie są dość silne i przekonywające — boć z tego, że Risner przyznaje, iż „a linguae arabicae peritis" dowiedział się, ilu było Alhazenów, nie wypływa jeszcze, że Risner nie znał arabskiego języka — jak również z tego, że teksty Alhazena i Vitellona dziwnie się zgadzają, nie wypływa jeszcze koniecznie, że już Vitello miał mieć gotowe przed sobą Alhazenowego dzieła tłumaczenie, mógł bowiem w XVI wieku na łaciński język przekładający Alhazena Risner użyć wyrażeń Vitellona, który, jak wiadomo, spisując swą optykę, okwicie czerpał z Alhazena — i ztąd też może to rażące podobieństwo wyrażeń się datuje. Zresztą kwestja owego tłomaczenia wielce zawiła i mało znacząca, jedynie gruntownem badaniem tekstów ze stanowiska lingwistycznego dałaby się rozwiązać.

Wykazawszy tak stanowisko optyki za czasów Vitellona, przystępuje autor do rozbioru przytoczonego powyżéj dzieła jego, które w XVI wieku aż trzech doczekawszy się wydań, przez długi czas jako jedyna nieomal podręczna książka optyki po szkołach było używane.

Autor podawszy szczegółowy opis bibliograficzny wszystkich trzech wydań, które starannie porównywał i badał, i to tak dwu pierwszych, Tanstettera i Appianaz roku 1535 i 1551, jako też trzeciego, dokonanego przez Risnera 1572, broni w gruntownych wywodach przy rozbiorze pierwszéj księgi, Vitellona od zarzutu plagiatorstwa, przyznaje mu wielką znajomość źródeł greckich, wykazuje, że choć Vitello odstępując od Alhazena, myli się niekiedy, n. p. przy wywodzie o ruchu światła, w którym poszedł za powagą Arystotelesa, nie zasługuje wszakże na ostry sąd Porty, odmawiającego mu wszelkiéj samodzielności, a przyczynę błędów składa na trudność i zawiłość przedmiotu. Przytaczając jednak daléj z II i III księgi liczne ustępy, dosłownie wypisane z Alhazena, a w IV, V, VI i VIII zastanawiając się nad misternemi parafrazy i całemi dziesiątkami twierdzeń, pobranych z Euklidesa, Ptolemeusza i Alhazena, których ślad Vitello tajemniczém milczeniem pokryć usiłuje — w końcu, powtarzam, autor uwielbiający uczonego męża, który naukę optyki poraz pierwszy porządnie ułożył nie mogąc go zupełnie obronić od zarzutu, stawia twierdzenie, jakoby nasz Vitello przepisując Alhazena, myślał, że dzieło Araba, spoczywające na watykańskich półkach, nigdy nie ujrzy dziennego światła — albo że pisząc dzieło dla szkół, nie uważał za potrzebne przytaczać źródła tam, gdzie mu raczéj chodziło o dobre zestawienie rezultatów — kończy wreszcie powtarzając słusznie słowa Risnera: ‚Si artis Opifex atque author habendus sit, qui arti formam, animamque dedit: Vitello jure optimo artis Author habeatur (praef)."

W końcu niech nam wolno będzie wyrazić szanownemu autorowi serdeczną wdzięczność za tę ze wszech miar szacowną pracę, na którą choć niewtajemniczeni w świątynię nauk przyrodzonych, pozwoliliśmy sobie zwrócić uwagę przyrodników i przyjaciół poważnéj literatury jedynie dla tego, że dotąd, po upływie siedmiu miesięcy od czasu wydania, żaden fachowy sprawozdawca o niéj nie wspomniał. Zasługuje zaś na szczegółowy a kompetentny rozbiór tak ze względu na przebijającą się w niéj głęboką znajomość dziejów i całéj bogatéj treści optyki, jak też na godną naśladowania w podobnych pracach systematyczność i sumienność. —

K.

Zdanie sprawy Komisji Pomocy Naukowéj.

Dla uczącéj się młodzieży w Szwajcarji.

(Rok siódmy.)

Tłomaczenie dosłowne z francuzkiego.

Zaczynając rok ósmy uważamy za obowiązek przedstawić publiczności polskiéj obecne położenie Instytucji, oddającéj wielką przysługę Polsce, i wykaz porównawczy jéj zasobów przez cztery ostatnie lata.

Wiadomo powszechnie, że fundamentem głównym bytu i powodzenia narodowego w każdym kraju jest wychowanie publiczne; bez niego nic kwitnąć nie może w naszym wieku oświaty. Przyszłość Polski i jéj odrodzenie zależą głównie od niéj, od ważności kapitału inteligencji zbiorowéj, od liczby ludzi specjalnych, zadośćczyniących wymagalnościom technicznym kraju. Przyjaciele Polski w Szwajcarji przejęci tą potrzebą,

założyli w 1866 roku Instytucję dla zachęcenia i udzielenia pomocy za granicą młodzieży polskiéj, kształcącéj się technicznie. Byli przekonani że gorliwego poparcia w Polsce nie zabraknie w dziele tak dla niéj korzystném, i że ta fundacja przybierze wielkie rozmiary i zapełni próżnię powstałą z niedostatku ludzi specjalnie wykształconych.

Ale ta nadzieja częściowo się tylko urzeczywistniła; nie mając dostatecznych i regularnie przesyłanych funduszów, zmuszeni byliśmy ograniczyć subsydja do stosunkowo małéj liczby uczniów.

Nie tylko subskrypcje się nie powiększają, ale się ciągle zmniejszają, jak to wykazuje wypis następny ze zdania sprawy z ostatnich lat czterech. Były one:

W 1867 roku	7,391 fr.	62 cen.
„ 1868 „	3,427 „	74 „
„ 1869 „	2,584 „	35 „
„ 1870 „	1,288 „	47 „

Jest przeto mniéj funduszów o 6,103 fr. 15 cen. porównywając rok 1867 z rokiem 1870, i gdyby nie pomoc obca, jużby liczba pobierających subsydja znacznie się zmniejszyła.

Zapewnie wykaz ten obudzi w Polakach patrjotyzm w sprawie tak ściśle połączonéj z jéj przyszłością, na korzyść młodzieży kształcącéj się, przybyłéj z różnych dzielnic Polski. Liczba uczniów w uniwersytecie i szkole politechnicznéj Zurychu od roku się podwoiła, jest ich obecnie przeszło stu, i pomiędzy niemi są potrzebujący wsparcia którego dać nie jesteśmy w stanie. Tu uważamy za stosowne przestrzedz Polaków, szczególniéj z Galicji przybywających, że nie powinni kraju opuszczać, nie mając pewności otrzymania subsydjów w Zurychu, jeżeli nie chcą dobrowolnie się wystawić na wielką nędzę.

Obecnie jest siedmiu uczniów otrzymujących pomoc naukową; czterech pobiera 50 fr., trzech mniéj ubogich 25 fr. miesięcznie; wydatek przeto miesięczny jest 275 franków, albo roczny 3,300 fr., nie licząc od każdego opłaty wpisu wymaganéj co rok 110 fr., pomocy jednorazowéj i t. p. Kilku uczniów oczekuje subsydjów, ale ich otrzymać nie może, ponieważ idzie przedewszystkiém o to, aby zapisani mogli je regularnie pobierać. Dwóch pomiędzy niemi ukończy studja w ciągu roku bieżącego; inżynierowie potrzebują trzech lat i pół aby otrzymać dyplom, który daje im i zabezpiecza na zawsze bardzo dostateczne środki utrzymania. Jeden z dawnych uczniów, wspieranych przez naszą Instytucję pobiera obecnie przeszło 5,000 fr. rocznie.

Zarząd Pomocy Naukowéj czuwa nad postępem uczniów i ich pilnością, w razie gdyby jéj zabrakło, utraciliby natychmiast subsydja. W ogólności odznaczają się gorliwością w pracy i przyzwoitém prowadzeniem się. Ich dążność nie wychodzi z granic pracy naukowéj i harmonja cechuje ich wzajemne stosunki. Zarząd nie robi żadnéj różnicy pomiędzy emigrantami i przybyłymi niedawno z kraju, byleby kandydaci do pomocy naukowéj byli jéj godni i udowodnili niedostatek.

Już czas dozwolić wychodźcom rezydencji w Wielkopolsce i Galicji po tylu latach wygnania i niedoli; ci, którzy ukończyli techniczne nauki mogliby się stać bardzo użytecznymi krajowi, i nie bez dotkliwego zadziwienia opinja publiczna za granicą uważa przeszkody, zmuszajace Polaków do ofiarowania obcym swych usług.

W zdaniach sprawy rocznych, które są redagowane podług zwyczaju krajowego w Szwajcarji, nie ogłaszamy nazwisk uczniów pobierających pomoc naukową, ograniczając się do głównych szczegółów. Wolelibyśmy nie mieć żadnych kosztów administracji, ale ci którzy są świadomi wymagalności Instytucji naszéj i jéj propagandy, wiedzą, że to jest niepodobne. Możemy tylko zmniejszyć te koszta sami je opłacając, to co właśnie czyni jeden z członków Zarządu.

Oto jest stan przychodu i rozchodu. w r. 1870:

Przychód.

Pozostałość w kasie z roku 1869, podług ostatniego zdania sprawy	4,135 fr.	34 cen.
Księżna E. E. z Wiesbaden	736 „	— „
Przez panią D. z Buchwałdu w Prusach Zachodnich	368 „	50 „
Pan Wermiński w Serbji	12 „	— „
D. Łątkiewicz „	8 „	— „
Pan Słotwiński „	6 „	— „
Pan Kozłowski „	6 „	— „
Pan Ostoja „	6 „	— „
Przez Redakcję Gazety Narodowéj	440 „	— „
Przez Redakcję Dziennika Lwowskiego	115 „	— „
Przez Redakcję Czasu	10 „	25 „
Przez panią R. z Jaguszewa w Prusach Zachodnich	218 „	17 „
Pan Smarzewski z Moczerad w Galicji, z potrąceniem kosztów przesyłki	98 „	55 „
Procent opłacony przez Bankiera	64 „	80 „
Ogół przychodu	6,224 fr.	61 cen.

W téj sumie nie znajduje się około 200 fr. subskrypcji przesłanych jednemu z dzienników krajowych, które jeszcze do Zurychu nie zostały wyexpedjowane.

Rozchód.

Subsydja miesięczne i pomoc jednorazowa ośmiu uczniów w ogóle	3,500 fr.	— cen.
Koszta biórowe, expedycji, drukarni, porto listów, komisja bankiera i t. p.	256 „	— „
Reszta kosztów opłaconą została przez jednego z członków Zarządu.		
Ogół rozchodu	3,756 fr.	— cen.
Pozostaje w kasie	2,668 fr.	61 cen.

Ponawiamy prożbę o przesyłanie kwartalne regularne subskrypcji, albowiem nie podobna inaczéj mieć Instytucji dobrze uorganizowanéj.

Zurych 14 stycznia 1871 roku.

Członkowie Zarządu:

Hr. Wł. Plater. E. Landolf, profesor, Dyr. Szkoły Polit.

Skrzynka do listów.

Panu Rud. Mosse w Berlinie. Nie zamieszczamy w naszém piśmie ogłoszeń handlowych.

Panu J. Bob... w Landzbergu. Przesyłamy życzony numer 2; — co do zmiany adresu prosimy Pana udać się do urzędu pocztowego, w którym złożona przedpłata.

Panu A. K.. w Wągrówcu Z prawdziwą roskoszą czytaliśmy nadesłane nam „Studjum nad sympatją Niemców dla Polaków.“ Umieszczamy je w najbliższym numerze, — żałując że przychodzi tak późno. Powinno było ono stać jako wstępne słowo na czele „Tygodnika.“ Zajrzałeś Pan nam w serce, — streściłeś drogę, po któréj iść pragniemy. Idźmy więc, ręka w rękę! Uważaj Pan organ nasz za swój — i racz dla nas odsłonić przyłbicę.

X. L.. w Rzymie. Za główny cel sobie postawiliśmy życzenie zawarte w Jego liście. Prenumerata we Włoszech wynosi kwartalnie 21½ sbr. — pozostałe 8½ sbr. przenieśliśmy na drugi kwartał.

Panu Antoniemu Truszkowskiemu we Lwowie. Nadesłanych nam wierszy umieścić nie możemy.

Panu X... z X. Za nadesłane poezje dziękujemy. Dają one nam poznać nowy a prawdziwy talent, objawiający się wyraźnie z pod wadliwéj jeszcze gdzieniegdzie formy i częstych reminiscencji. „Jeremiada“ zdradza Malczewskiego; nie wstyd mieć takiego mistrza. Jesteś Pan w epoce naśladownictwa. Tygodnik otwiera Mu swoje łamy i prosi o nadsyłanie nowych utworów, — zachowując sobie prawo wyboru.

Panu Rettingerowi w Krakowie. Rękopism odebraliśmy Odpowiedź wkrótce nastąpi.

Panu X. R... w Bledzewie. Poczta miejscowa winna dostarczyć zapisanych exemplarzy. Pomimo to wysyłamy wszyłe dotąd numera, których duplikatami zechciéj Pan wedle życzenia rozporządzić.

Odpowiedzialny redaktor Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.